

BYĆ ŚLĄZAKIEM

Z ADAMEM DZIUROKIEM, RYSZARDEM KACZMARKIEM I KS. JERZYM MYSZOREM ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Jak zdefiniujemy Śląsk? Czy będziemy mówić o nim w jego granicach geograficznych, czy zmiennych granicach administracyjnych, czy o Śląsku jako miejscu i społeczeństwie?

J.M. – Przyjęło się mówienie o Śląsku w granicach województwa śląskiego, jeśli mówimy o okresie przedwojennym. Dolny Śląsk znajdujący się w polskich granicach po 1945 r. jest zupełnie inną jakością, jest czymś odrębnym, więc geograficznie obejmujemy Górny Śląsk, razem z Cieszyńskim.

A.D. – Górny Śląsk to jest pewien przypadek kulturowy, jako miejsce zamieszkania społeczności, która jest mocno związana wewnątrznie i przez to odrębna od innych.

B.P. – A jak sobie radzimy z Opolszczyzną w takim podziale?

J.M. – Opolszczyzna stanowi część Górnego Śląska.

R.K. – Nie ma takiego pojęcia.

A.D. – Od XV wieku funkcjonuje nazwa Górny Śląsk (zastępująca termin Księstwo Opolskie), a jego stolicą było Opole.

R.K. – Faktem jest, że historycznie nie istnieje coś takiego jak Opolszczyzna, która kształtuje się dopiero w momencie stworzenia województwa opolskiego. Można mówić o rejencji opolskiej, ale nawet po stronie niemieckiej nikt nie miał wątpliwości, że to jest Górny Śląsk.

B.P. – Ale od strony Opolszczyzny nie ma wątpliwości, że to jest byt odrębny.

J.M. – Po 1945 r. zaczyna się tworzyć pewna odrębność Śląska Opolskiego. Jego mieszkańcy skutecznie budują swoją odrębną tożsamość faktami politycznymi i kulturowymi. Poszukują swoich korzeni także na gruncie kościelnym, sprowadzają definicję Śląska Opolskiego do granic kościelnych. Od kilkudziesięciu lat jesteśmy świadkami bardzo dynamicznego procesu kształtowania się poczucia nowej świadomości ludzi mieszkających na Śląsku Opolskim. Historyk będzie szukał jej źródeł w wydarzeniach z najnowszej historii Polski i mówił o pewnej całości lub odrębności w stosunku do Dolnego Śląska i Górnego Śląska rozu-



mianego jako obszar dawnego województwa śląskiego. Tak zwane Zaolzie, mimo że historycznie związane ze Śląskiem, to osobny problem.

WSPÓLNOTA WARTOŚCI

B.P. – Został określony teren. Warto opisać specyfikę społeczno-narodowościową Śląska. Z jednej strony są granice administracyjne, ale z drugiej Śląsk jest miejscem, gdzie ścierała się polityka przynajmniej polska i niemiecka, a wcześniej także czeska. Powiedzmy też, kogo traktuje się jako Ślązaka, czyli rodowitego mieszkańca Śląska. Jak opisać Ślązaków? Jak od strony społeczno-narodowościowej wygląda struktura tego regionu?

J.M. – Krąży takie obiegowe powiedzenie, że aby być uznanym za Ślązaka, trzeba się urodzić na Śląsku i mieć przynajmniej trzy pokolenia Ślązaków za sobą. A przecież jest grupa ludzi, którzy przybyli na Śląsk i ich dzieci już uważają się za Ślązaków, mówią piękną gwara śląską (o ile gwara jest piękna). Żartobliwie mówiąc, wstydzą się rodziców, że oni pochodzą z Wilna czy z Lwowa. Wcale niemała jest ta grupa ludzi, którzy oczywiście nie wypierają się swoich korzeni historycznych, pochodzenia, swoich rodziców, ale czują się Ślązakami i utożsamiają się ze Śląskiem. No i jest jeszcze taka luźna grupa składająca się z tych, którzy tu przybywają, a potem wyjeżdżają – napływowi pracownicy hut, kopalń.

A.D. – Zdefiniować Ślązaka jest szalenie trudno i na tym między innymi polegał problem i nazistów, i komunistów. Ślązakiem na pewno jest osoba, która uznaje wartości wspólne dla mieszkańców tego regionu.

B.P. – No właśnie, które są wspólne, przy takiej różnorodności losów?

A.D. – To jest wspólne przeżywanie historii i wyciąganie wniosków na przyszłość, w tym między innymi podejście do władzy, zwykle z dużym dystansem. To jest też poczucie przynależności do grupy zamieszkującej ten region, przywiązanie do tradycji, do religii, kultury, gwary. Każdy z tych wyróżników jest bardzo istotny. Jeżeli nie zaakceptuje się przynajmniej większości wartości śląskich, to trudno mówić o przynależności do tej grupy.

B.P. – Można na te kwestie spojrzeć bardziej szczegółowo, chociażby pod względem konfesji religijnej. Na Śląsku obecny jest przede wszystkim katolicyzm, ale związany ze Śląskiem jest również protestantyzm, łączony z polskością, bo to jest protestantyzm w „odmianie polskiej”. Wyznawcy protestantyzmu byli przecież obiektem germanizacji właśnie dlatego, że walczyli o zachowanie tej swoistej odmiany protestantyzmu związanego z językiem polskim. Bardzo zmienna jest też sprawa stosunku do władzy – reprezentowała ona tutaj, w ostatnich latach, dziesięcioleciach, stuleciach, przynajmniej dwa państwa. Jeśli



chodzi o tradycję i kulturę, w dużej mierze tworzy ją słowo, więc rodzi się pytanie, ku któremu językowi bardziej skłaniają się członkowie tej społeczności. Gwara nie jest jedynym wyznacznikiem językowym śląskości, przecież jest tu obecny i język polski, i niemiecki.

J.M. – Jest pewna odrębność, wyłoniona z procesu historycznego, jakiemu został poddany cały Śląsk lub jego części, związany dawniej z Czechami, monarchią austro-węgierską, potem Prusami i Polską: Śląsk najczęściej był przedmiotem przetargów, manipulacji. To sprzyjało tworzeniu się odrębności, zawsze w opozycji, swego czasu w stosunku do Prus, innym razem w stosunku do Polski. Nazywamy to może niezbyt ostrymi pojęciami, ale na tym terenie wskutek narożnikowego usytuowania wytworzył się właściwy dla Śląska system wartości i ten, kto go przyjmuje, jest akceptowany i przyjmowany do grona Ślązaków i będzie się dobrze czuł na Śląsku.

ODRĘBNOŚĆ CZY OBCOŚĆ

B.P. – Na Śląsku istnieje syndrom mniejszości narodowej, mimo że nie ma narodowości śląskiej. Ci, którzy naprawdę czują się Ślązakami, są związani z tym regionem, funkcjonują jak mniejszość narodowa i właściwie dopiero to, w moim przekonaniu, w pełni określa tę społeczność. Ona się poddaje takiej analizie, jak mniejszość narodowa, ze wszystkimi odrębnościami, poczuciem osobności, również autonomii.

R.K. – Trzeba to traktować bardzo dynamicznie. Pewne cechy Górnoślązaka sprzed stu lat nie muszą się przekładać na sytuację obecną. Drugą sprawą jest traktowanie Górnoślązaków jak swego rodzaju quasi mniejszość narodową, czyli grupę charakteryzującą się pewną odrębnością. Badania socjologiczne wyraźnie wskazują, że grupa, która ma poczucie tożsamości górnośląskiej, jest tutaj liczbowo mniejszością. Ksiądz profesor przed chwilą mówił o osobach, które już w drugim pokoleniu utożsamiają się z górnośląskością. Powiem o własnym doświadczeniu – moje dziecko absolutnie z tym się nie utożsamia. Moja córka uważa się wyłącznie za Polkę i koniec, nie ma tego utożsamienia Polak-Górnoślązak, nawet w dialekcie. Mieszkamy w diasporze, w Tykach, choć jest to diaspora specyficzna. Bardzo różne czynniki wpływają na stanowisko mojego dziecka, w tym szkoła. Nie zawsze jest więc tak, że ludzie ukorzeniają się w górnośląskości. Bardzo często pozostają przy swoim poczuciu narodowości, na przykład polskości.

B.P. – W losach Górnego Śląska i jego mieszkańców, szczególnie po 1939 r., wiele było momentów, w których myślano kategoriami nie tylko odrębności, ale i obcości. Nie tylko Ślązacy reprezentowali takie myślenie, ale również ci, którzy Śląsk posiadali i traktowali jego mieszkańców instrumentalnie. Udziałem mieszkańców Górnego Śląska były bardzo trudne doświadczenia, również natury mo-



ralnej, gdy stawiano ich wobec konieczności dokonywania wyboru między losem swoim a losem społeczności do której należeli. Te wybory były dramatyczne, tak samo jak losy poszczególnych osób. Wymagano od ludzi tego, by opowiedzieli się za Polską czy Niemcami i na dodatek rozliczano ich z dokonanego wyboru.

A.D. – Wydaje mi się, że problemem jest patrzeć na Śląsk przez pryzmat wyraźnych postaw narodowych i świadomości narodowej, funkcjonujących w Polsce poza Śląskiem. Czyli przenoszenie pewnych wzorców zachowań i postaw w patrzaniu na Śląsk. Trzeba jasno powiedzieć o roku 1939, że zupełnie inna była sytuacja tej ludności pogranicza, inaczej reagującej, mającej inne doświadczenia. Jeśli nie będziemy o tym pamiętali, to będą się rodziły złe skojarzenia. Istnieje stereotyp Ślązaka – zaprzańca i zdrajcy narodu polskiego. Przed 1939 r. Wojciech Korfanty szacował, że 30 proc. mieszkańców Śląska to ludzie labilni pod względem narodowym, Niemcy w czasie wojny mówili nawet, że stanowią oni połowę mieszkańców Górnego Śląska. Do tego trzeba dodać osoby zdeklarowane jako Niemcy – w 1931 r. było ich około 170 tys. Istniał tu cały katalog postaw, jeśli chodzi o stosunek do narodowości czy państwa. Nie można powiedzieć, że byli Polacy, Niemcy i Ślązacy. Byli Ślązacy, którzy czuli się przede wszystkim Ślązakami, byli Ślązacy polscy, niemieccy i byli Niemcy. Byli też Polacy, którzy czuli się Ślązakami, i byli Polacy, niemający żadnych związków ze Śląskiem, i wreszcie byli również Niemcy, którzy nie czuli się związani ze Śląskiem.

„PALCÓWKA”

J.M. – Śląsk po 1945 r. jest specyficznie traktowany przez władze polityczne i odpowiednio postrzegany przez resztę Polski. Zwróciłbym uwagę na to, że w okresie międzywojennym umocnił się na Śląsku syndrom odrzucenia, pogłębiony w czasie okupacji. Jest on związany z konkretnymi wydarzeniami politycznymi – w okresie międzywojennym między innymi polityką personalną ówczesnych władz wojewódzkich. Natomiast w okresie okupacji mamy do czynienia z nieszczęsną „palcówką”, a potem folkslistą. Po 1945 r. (warto zrobić na ten temat badania socjologiczne) nadal funkcjonuje, często wypierany do podświadomości, problem skutków folkslisty i „palcówki”. W mniejszym stopniu u nas, na Górnym Śląsku, w rozumieniu tzw. Śląska Polskiego, który wszedł w granice II Rzeczypospolitej, gdzie problem ten został skutecznie stłumiony albo wyjaśniony i usprawiedliwiony, między innymi na gruncie akcji zwanej rehabilitacją. Funkcjonuje on przede wszystkim w Polsce centralnej w postaci stereotypu Ślązaka – niepewnego narodowościowo, a nawet zaprzańca. Ślązak był stale zmuszany do potwierdzania swojej przynależności narodowej.

Należy przede wszystkim postawić pytanie: czy „palcówka”, a w mniejszym stopniu folkslista, stanowiła plebiscyt o charakterze narodowościowym?





R.K. – W końcu 1939 r. na terenie przedwojennego województwa śląskiego niemiecka policja przeprowadziła rejestrację mieszkańców. Nazwa „palcówka” wynika stąd, że na formularzu zamiast fotografii zostawiało się odcisk palca. Był to pierwszy od dłuższego czasu rodzaj spisu czy sondażu, dzisiaj byśmy powiedzieli – sondażu socjologicznego, w którym każdy Ślązak (nie chcę tu użyć słowa „mógł”), wypełniając ankietę, sam się klasyfikował pod względem narodowościowym. Trzeba podkreślić, że to nie było tak, że robił to bez nacisku, bo decydowało istniejące już przeczcucie, co może się stać. Doświadczenie wielkopolskie pouczało, że deklaracja polskości może się skończyć wysiedleniem. Był to sondaż przeprowadzony na podstawie odczuć subiektywnych dotyczących tego, kim ja jestem. Możliwość było kilka: jestem Polakiem, jestem Niemcem, albo jestem Ślązakiem, bo taka opcja też była. Podobnie z językiem: mówię po polsku, po niemiecku bądź po śląsku. Prawie 90 proc. odpowiedziało – jestem Niemcem albo – jestem Ślązakiem – jeśli te kategorie zsumować. Mówię o dawnym pruskim Śląsku, nie o Śląsku Cieszyńskim.

We wrześniu 1939 r. mamy do czynienia – jak wspomniano – z całym wachlarzem postaw, w odczuciu współczesnym panuje zaś przekonanie, że społeczeństwo działało jak monolit. Wtedy było to niemożliwe. Specyfika tamtej sytuacji została wytworzona nie przez wojnę, tylko przez cały okres przed wybuchem wojny. Trudno więc sobie wyobrazić, że wszyscy jak jeden mąż będą się zachowywali tak lub tak.

B.P. – **Jeśli żyjący w administracyjnych granicach Polski zdeklarowani Niemcy nie obchodzili chociażby polskich świąt państwowych, to trudno było oczekiwać od nich propaństwowej postawy.**

R.K. – Część z nich naprawdę była przesiąknięta wiarą w to, że państwo niemieckie przyjdzie z powrotem. I to nie chodzi o to, że to był jakiś rodzaj „piętej kolumny”, chociaż i takie przypadki się zdarzały. Po plebiscycie z 1922 r. takie były oczekiwania, a minęło zaledwie siedemnaście lat, prawie tyle, ile trwają nasze przekształcenia od 1989 r. To był tak niewielki dystans, że te siedemnaście lat wydawało się jakimś historycznym epizodem, a nie wielkim okresem polskości na Górnym Śląsku.

J.M. – Biskup katowicki Stanisław Adamski sugerował, żeby w czasie „palcówki” podawać się za Niemców, ze względów taktycznych. Rodzi się pytanie, czy właściwie odczytał nastroje panujące wśród ludności górnośląskiej, która była labilna narodowo, czy też jednak stosował bardzo przemyślaną taktykę. Jestem skłonny sądzić, że przeważyły racje taktyczne, które przeniósł z Wielkopolski, wyznając zasadę: przetrzymaliśmy kiedyś Prusaków w Wielkopolsce i „pracą organiczną” skłoniliśmy do odwrotu pruski żywioł, to przetrzymamy i teraz tę nawet hitlerowską. To jest tylko kwestia czasu, więc należy tutaj pozostać i przyjąć postawę,

jak sam powiedział – maskującą. Nadal bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy palcówka nie stała się w jakimś sensie, jeśli nie dla wszystkich, to jednak dla wielu plebiscytem o charakterze narodowym.

A.D. – Nie zapominajmy – to był policyjny spis ludności. Nie można tego rozpatrywać w oderwaniu od sytuacji wojennej. Nie zgadzam się z tym, że „palcówka” była plebiscytem. To nie była wolna, swobodna możliwość wypowiedzenia swojego głosu za taką a nie inną państwowością, narodowością i językiem. Nawet jeśli nie czuło się fizycznego terroru, choć z pewnością wielu ludzi pod takim wpływem działało, to przecież Niemcy w ciągu kilku dni zajęli Śląsk bez większego problemu. Przez ten teren przetoczyła się cała machina wojenna. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę, żeby zrozumieć, że to nie była deklaracja czy wyraz dezaprobaty dla tego, co się przeżywało przez te siedemnaście lat, ale to była odpowiedź na taki a nie inny przebieg działań wojennych. Ślązacy nauczeni doświadczeniem życia w różnych organizmach państwowych starali się unikać sytuacji konfliktowych i podeszli do „palcówki” bardzo pragmatycznie, wypełniając po prostu obowiązek nałożony przez nowe władze.

J.M. – Na gruncie kościelnym już w czasie wojny próbowano sformułować pewne kryteria zachowań możliwych do zaakceptowania dla Polaków czy Ślązaków, którzy czuli się związani z Polską, oraz zachowań zakazanych, które znamionowały zdradę nie tylko zewnętrzną, ale także i wewnętrzną. Zwracano uwagę na przykład na to, jakie imiona nadawano przy chrzcie – władze preferowały oczywiście nadawanie imion niemieckich – ale była przecież jeszcze możliwość nadawania imion obojętnych, neutralnych, może nie czysto polskich, ale takich, które funkcjonują w obszarze kultury łacińskiej. Obserwowano też zachowania duchownych – czy ktoś nie jest zbyt aktywny w stosunku do administracji okupacyjnej, czy nie pokazuje się manifestacyjnie z urzędnikami gestapo na ulicy wtedy, kiedy nie musi, czy używa języka niemieckiego wtedy, kiedy nie musi. Jeśli na przykład ksiądz w kancelarii parafialnej, wiedząc, że ma do czynienia z kimś, kto bezbłędnie mówi po polsku, używał języka niemieckiego, to taki ksiądz był podejrzany albo jako oportunistą, albo jako skłaniający się w tę drugą stronę. Można wymienić szereg takich kryteriów, które pozwalały w kurii diecezjalnej w Katowicach określić stopień odstępstwa; czy już doszło do tej wewnętrznej zdrady, a więc nie tylko tego zalecanego maskowania się.

B.P. – Wtrącę kilka słów na prawach dyskutanta. Pod koniec XIX wieku na Śląsku powstało wielkie środowisko przemysłowe. Mieszkańcy Śląska mogli zobaczyć, jaka jest różnica w administrowaniu zakładami przemysłowymi, czy w ogóle administrowaniu regionem przez Niemców, którzy byli z jednej strony właścicielami, często bezwzględni wyzyskaczami, ale z drugiej strony budowali specjalne osiedla dla robotników. Różnie może było z wypłatami, ale coś z tej niemieckiej praworządności czy porządku budziło podziw. Moi koledzy ze studiów mówili,



że nie mogą patrzeć na tę socjalistyczną bylejakość, bo oni z doświadczeń swoich rodzin wiedzą, jak można administrować państwem, regionem, ulicą, dbać o czystość. To są może trudno definiowalne sytuacje, ale tłumaczą, dlaczego wielu Ślązaków spogląda na Niemcy nie jako na ojczyznę, ale jako na pewien wzór funkcjonowania społeczeństwa. Ich oczekiwania wobec Polski, jako kraju sprawiedliwego i dobrze rządzonego, zostały zawiedzione.

SPOŁECZNY OPÓR

B.P. – Powróćmy do roku 1939, jak to było z obroną Katowic i Śląska?

R.K. – Obrona Śląska była częścią obrony całej Rzeczypospolitej. Plan wojskowy zakładał obronę Górnego Śląska przez wydzieloną jednostkę podporządkowaną Armii Kraków. Była to Samodzielna Grupa Operacyjna Śląsk pod dowództwem gen. Jana Jagmina Sadowskiego. W praktyce Górny Śląsk, jako obszar wysoko zindustrializowany, nie był atakowany przez Niemców. Także strona polska wiedziała wcześniej, że atak raczej nie nastąpi. Obydwa uderzenia armii niemieckich poszły po skrzydłach – jedno na Częstochowę, drugie na Pszczynę. Do 2 września 1939 r. można mówić o dość skutecznej obronie części centralnej Śląska. Mimo pewnych zagrożeń, które się pojawiły pod Mikołowem, obrona była skuteczna. Zatańczenie na obydwu skrzydłach zdecydowało o tym, że po rozmowie między gen. Sadowskim a gen. Szyllingiem (dowódcą Armii Kraków) i konsultacjach między Szyllingiem a marsz. Rydzem-Śmigłym zdecydowano się na opuszczenie Górnego Śląska przez regularne wojska. „Odskok” zaczął się już w nocy z 2 na 3 września i trwał przez całą dzień 3 września. Żeby przeciąć jakiegokolwiek wątpliwości, muszę dodać, że był to bardzo sprawnie przeprowadzony manewr wojskowy. Nie było sensu utrzymywania wydzielonego obszaru. Sadowski rozważał taki pomysł, żeby zostawić część grupy „Śląsk” i bronić się w wydzielonych punktach oporu. Prawdopodobnie dość długo by to trwało, bo trzeba by prowadzić walki uliczne. Grupa operacyjna po sprawnym opuszczeniu Śląska działała jako zwarta jednostka aż do bitwy pod Tomaszowem Lubelskim, czyli w praktyce okazała się jednostką zdolną do działania bardzo długo, przez trzy dekady. To, co działo się po 3 września na Górnym Śląsku, trudno nazywać obroną wojskową.

B.P. – Pozostał już tylko opór społeczny.

R.K. – Tak, dlatego miało to charakter epizodyczny w wydzielonych miastach czy dzielnicach, gdzie pozostały grupy młodzieży powstańczej, albo gdzie działali powstańcy, wcześniej jeszcze zorganizowani w oddziałach samoobrony.

B.P. – A jeśli chodzi o działalność dywersyjną Niemców przed 3 września?



R.K. – Freikorpsy (niemieckie oddziały ochotnicze) organizowano od sierpnia, a na Opolszczyźnie nawet od czerwca 1939 r. Dywersja nie była taka prosta, bo zakłada ona działanie na tyłach wrogów. Trzeba pamiętać, że Freikorpsy nie były przerzucane za linię frontu – oddziały te szły niejako na czele wkraczających wojsk niemieckich. W momencie wkraczania wojsk niemieckich na Górny Śląsk uaktywniły się grupy folksdojczów. To byli miejscowi Niemcy, prawdopodobnie mający kontakty z władzami wojskowymi. Zakładali opaski, niekiedy wyciągali posiadaną broń i wychodzili na ulice miast. Istniały specjalne instrukcje wojsk niemieckich pozwalające rozpoznawać grupy folksdojczów. Znakiem rozpoznawczym były żółte opaski na lewym przedramieniu i hasła. Te dane przekazano dowódcom wkraczających czołowych jednostek niemieckich.

OBRONA WIEŻY SPADOCHRONOWEJ

B.P. – Długie lata stojąca w katowickim Parku Kościuszki wieża spadochronowa uchodziła za symbol oporu we wrześniu 1939 roku. Mówiono o broniących się na niej harcerzach, ciężkich stratach, jakie poniósł w tej walce wkraczający Wehrmacht, w końcu o bestialskim potraktowaniu obrońców przez rozwścieczonych oporem Niemców. A jak naprawdę wyglądała obrona wieży?

R.K. – Z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że nie odbyła się ona 3 września. Do tej pory przyjmowano, że walki toczyły się od popołudnia 3 i trwały jeszcze dnia następnego, 4 września. Wojska niemieckie wkraczały do Katowic między innymi od strony Chorzowa. Jeżeli 3 września w rejonie wieży była jakaś strzelanina, to raczej z grupami folksdojczów. Tego dnia w tym rejonie nie mogło jeszcze być regularnych wojsk niemieckich. 239. Dywizja Neulinga weszła do Katowic od strony Mikołowa wczesnym rankiem 4 września. Wieża spadochronowa też znajduje się po południowej stronie miasta. Gdyby nawet założyć, że wcześniej jeszcze, 3 września, wyszły jakieś oddziały zwiadu, o których nie wiemy, to trudno sobie wyobrazić, żeby po ostrzeleniu takiego zwiadu (a mamy takie informacje, że zwiady były ostrzeliwane), ta dywizja szła otwartym marszem następnego dnia, jakby czekając, aż do niej zaczną strzelać. To nierealne. A ona rzeczywiście szła w otwartym marszu, to znaczy tylko z oddziałem zwiadu z przodu, w rozwiniętym szyku. Wynika z tego, że te walki 3 września nie mogły mieć miejsca.

Wiemy, że dywizja podeszła do Parku Kościuszki, gdzie stoi wieża, i została ostrzelana z karabinów maszynowych. Wiemy, że Niemcy podciągnęli działo, potem drugie, ale to drugie służyło tylko do osłony. Z jednego działka przeciwpancernego oddano prawdopodobnie dwa strzały artyleryjskie i chyba na tym ostrzał się skończył. To mogło trwać 15–20 minut. Później mamy lukę. Wiemy, że oddziały niemieckie weszły do Parku Kościuszki, wiemy też, że tam byli Niemcy, prawdopodobnie grupy folksdojczów. Wiemy z raportu, że oni jakby oczekując na nadejście wojsk nie-



mieckich w okolicach parku, rozproszyli się. Oddziały niemieckie podeszły pod wieżę. Nasza niewiedza polega na tym, że nie wiemy, ile osób było na wieży, kim były te osoby. Do tej pory przyjmowano, że byli to harcerze.

J.M. – Są zeznania, że pod wieżę widziano ciała harcerzy.

R.K. – Pewności jednak nadal nie mamy, bo nie wiemy, czy to były ciała tych, którzy zostali na wieży, choć z dużym prawdopodobieństwem można to przyjąć. Wiemy na pewno, że toczyły się walki w Parku Kościuszki. Prawdopodobnie w samym parku były oddziały polskie – Młodzież Powstańczej, także harcerzy.

Cała ta dywizja wkracza do centrum Katowic około godz. 11.30. Pod wieżę była mniej więcej w godzinach 8.00–10.00 (jeszcze musimy mieć czas na walki w centrum Katowic). Walki pod wieżę trwały więc około dwóch godzin. Przypuszczam, że nawet krócej, bo podciągnięcie tej dywizji i znacznie ostrożniejszy marsz do centrum miasta musiał pochłonąć więcej czasu. To zresztą nie ma większego znaczenia. Nie wiemy dokładnie, co się działo w samym Parku Kościuszki, co się działo na wieży, jak dalece ta wersja zrzucania ciał jest prawdziwa.

J.M. – Może je zrucano.

R.K. – No więc właśnie. Ja nie mówię, że ich zrucano żywcem, bo to jest częścią legendy. Jestem przekonany, że nikt ich nie znosił. Bo ci, którzy widzieli wieżę, wiedzą, że to nie jest miejsce, na które łatwo wejść i łatwo zejść, nawet dzisiaj, kiedy jest niższa. Nie sądzę też, że ktoś, kto zdobywał tę wieżę, wspinał się na nią, bo to ze względów taktycznych jest zupełnie bezsensowne. O wiele prościej było „uciszyć” wieżę przez ostrzał. Myślę, że problem wieży to nie jest problem wydarzeń, które się tam rozegrały, według mnie problem tkwi w tym, jak wieża funkcjonuje w świadomości historycznej.

B.P. – Jako symbol.

R.K. – Zgoda. Mówienie o obronie Górnego Śląska przez pryzmat wieży to jest teza ahistoryczna. To był tak niewielki epizod, że proszę mi wierzyć, dla większości historyków zajmujących się II wojną światową poza Górnym Śląskiem ten fakt w ogóle nie istnieje. On nie istnieje w syntezach historii Śląska, tych które ostatnio się ukazały, dlatego że z punktu widzenia wojskowego to jest epizod bez większego znaczenia.

B.P. – Dla mnie to jest historia przejmująca. Czytałam o tym książkę w dzieciństwie i zalewałam się łzami. Myślę, że nie ja jedna.

R.K. – Na Górnym Śląsku są dziesiątki, jeżeli nie setki takich przykładów, jak wieża spadochronowa, w których Górnoszlązacy pokazali, że chcą wal-



czyż o Polskę, nawet w tej sytuacji, kiedy odeszły wojska polskie. Czy to było sensowne, czy bezsensowne, to jest inna sprawa. W poszczególnych małych miejscowościach mamy do czynienia ze strzelaninami, z ostrzeliwaniem *Einsatzgruppen*. To jest problem innego typu, mianowicie czy te kilkudniowe walki – od 3 do połowy września (jeszcze wtedy, jak wynika z raportów *Einsatzgruppen*, „czyszczono” lasy pszczyńskie z oddziałów samoobrony narodowej) – miały sens, czy były skuteczne. Te oddziały działały na własną odpowiedzialność, bo chciały walczyć i nie chciały opuścić tej ziemi. Sadowski wydał wyraźną dyspozycję, żeby opuścić obszar Górnego Śląska. Wieża spadochronowa dlatego ma taką rangę, że symbolizuje ileś przypadków samoobrony.

J.M. – W sferze symbolicznej streszcza pewne pragnienia czy wyobrażenia o Śląsku w 1939 r., przynajmniej tej grupy, która widziała klęskę Polski w tych pierwszych dniach wojny. Wieża spadochronowa pięknie oddaje pewien stan świadomości.

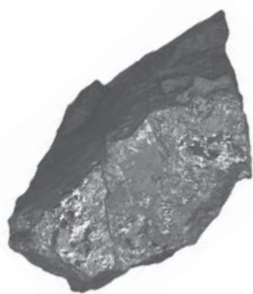
R.K. – W świadomości Górnoszlązaków po 1945 r. tkwiło jeszcze jedno wspomnienie, o którym się rzadko pisze – wyjścia z Górnego Śląska ludności napływowej i urzędników. Polacy, którzy przybyli tutaj budować Polskę w 1922, 1923 r. – odjeżdżają. Opuzczają Śląsk jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych – furmankami, własnymi samochodami, koleją. To głęboko zapadło w świadomość tutaj mieszkających. Symbol wieży miał równoważyć tamto wspomnienie. Ten wyjazd Polaków to też jest jakiś mit, chociaż nie wszyscy wyjeżdżali, poza tym niektórzy dostali rozkaz wyjazdu.

A.D. – To nie są zjawiska równoważące się. Fakt obrony Śląska można przeciwstawić jedynie natychmiastowemu ujawnieniu postaw proniemieckich, a właściwie nazistowskich. Z jednej strony – wywieszanie flag ze swastykami, z drugiej – obrona wieży. Zresztą historycy podkreślają, że działania prowadzone tu przez grupy samoobrony, harcerzy, byłych powstańców – to jest fakt w skali kraju wyjątkowy. Czegóż takiego gdzie indziej nie było – wszędzie obronę prowadziły oddziały wojskowe, a na Śląsku działania wojskowe prowadziła ludność cywilna. To bardzo ważne.

J.M. – To wynik istnienia syndromu powstań śląskich.

A.D. – Nawet jeśli w sensie wojskowym była to demonstracja całkowiście nieistotna i skazana z góry na niepowodzenie, to opisywała ona postawę taką – pamiętajcie, Niemcy, nie przychodźcie na swój teren, polskość jest tutaj silna.

J.M. – Po 1945 r. starano się ujednoczyć wizerunek Śląska i Ślązaków z 1939 r., nie ukazując tego, co nazwane tu zostało pełnym wachlarzem postaw. Przypominano wejście Niemców, swastyki, ludzi siedzą-



cych ze strachu w domu. Dlatego historia wieży spadochronowej nabrała tak wielkiego znaczenia i wartości symbolicznej. Tak zachowywali się Górnolązacy – byli na wieży, byli rozstrzeliwani, byli zastraszeni.

ZMIANY FLAG

A.D. – Między wywieszaniem flagi ze swastyką a strzelaniem do wojsk niemieckich jest przecież wiele zachowań pośrednich: ludzie wychodzili na ulice, stali, obserwowali wojska. I w relacjach wielu osób istnieje wspomnienie, że wychodziło się oglądać te wojska niemieckie bez poczucia nienawiści, chęci zemsty czy obawy, choć oczywiście te uczucia też były, ale że obserwowano te wojska z dużym podziwem – ze względu na sprawność organizacyjną, szybki przemarsz. To nie jest dominująca, ale znacząca grupa.

J.M. – Jeszcze o tym wywieszaniu flag. Należy osłabić siłę tego obrazu, bo to brzmi strasznie – wojska niemieckie wkraczą do Katowic i są z radością witane. Zrobiłem ankietę wśród starszej generacji księży i spotkałem się z ciekawą refleksją, którą powtarzam, bo jest przekonująca: w moim pokoleniu, mówił jeden z uczestników ankiety, to myśmy cztery razy zmieniali flagi – do 1917 r. posiadaliśmy pruskie flagi, następnie w 1922 r. należało wywiesić polskie, w 1939 – niemieckie i w 1945 r. – polskie; a mój dziadek służył w wojsku pruskim, ja byłem w wojsku polskim, potem w Wehrmachcie, a po 1945 r. mogłem być jeszcze w armii polskiej. Być może jakaś grupa zdeklarowanych Niemców z radością w 1939 r. witała ich wojska, ale stan nastrojów zmieniał się w czasie II wojny. Po Stalingradzie oni by już takiej flagi nie wywiesili z taką radością albo w ogóle by tego nie zrobili, już się zaczęli bać albo wstydzić. Poza tym świadomość zmieniała się także, gdy docierała do ludzi prawda o tym, co niesie ze sobą wojsko hitlerowskie, Wehrmacht, gestapo. Niektórzy księża, którzy z pewną ulgą stwierdzali, że „wróciliśmy do naszej ojczyzny”, gdy dowiedzieli się o pierwszych aresztowaniach wśród duchownych w październiku 1939 r., już nie byli tacy rozradowani. Datami granicznymi są dla duchownych pierwsze wieści o represjach i obozach koncentracyjnych, a dla przeciętnego mieszkańca Śląska – Stalingrad.

R.K. – Przecież ludzie nie witali wojsk nazistowskich, w większości nie mieli zielonego pojęcia, czym jest nazizm. Jasne, że była grupa górnośląskich Niemców, która została „znazizowana”, ale to nie była w żadnym razie grupa większościowa. Większość Ślązaków jeżeli witała z entuzjazmem czy z radością wkraczających Niemców, to witała ich jako Niemców, a nie jako nazistów. To jest rzecz niebywale istotna, bo ci ludzie dopiero z czasem zebrali doświadczenie, że to są zupełnie inne Niemcy niż te Niemcy Kaisera. To nie była naiwność Górnolązaków. Można przypomnieć 1939 r. w Krakowie – otwarcie Uniwersytetu Ja-



giellońskiego. Przyszła na nie większość profesorów, ponieważ oczekiwano, że to będą te Niemcy legalistyczne, w każdym razie podstawy porządku niemieckiego na pewno zostaną zachowane. Takim złudzeniem tym bardziej ulegali ci, którzy często byli wychowani w tradycji niemieckiego legalizmu. Zostało to później zweryfikowane w świadomości Górnolązaków przez sześć lat wojny.

A.D. – Istnieje takie określenie – *Septemberdeutsche*, Niemcy wrzesniowi – to byli tacy przedstawiciele Górnolązaków, którzy uwierzyli, że wrzesień 1939 r. przesądza o ich przyszłości na długie lata. Byli oczarowani wszystkim tym, co niesie ze sobą armia niemiecka. Wracając do stanu świadomości i doświadczeń okresu międzywojennego – istotnie była taka ocena wyższości państwa niemieckiego, jego zorganizowania. Większość Górnolązaków doświadczyła życia w dwóch organizmach państwowych i to porównanie w 1939 r. wychodziło na korzyść państwa niemieckiego. W tym sensie te niemieckie sentymenty były mocne i to, co tutaj zostało powiedziane, niekoniecznie wiązało się z przyjęciem opcji nazistowskiej.

OJCZYŻNA – MAŁA I DUŻA

B.P. – Tu pojawia się specyficzny problem pogranicza – patriotyzmu, jako umiłowania małej ojczyzny i pragmatycznej potrzeby funkcjonowania w dobrze zorganizowanym mechanizmie administracyjnym. Cały ten dramat odbywał się na takiej właśnie płaszczyźnie. Granice małej ojczyzny były rozszerzane przez jedność językową w stronę państwa polskiego, a jednocześnie żywe pozostawały z tej strony nie najlepsze doświadczenia bytowe. Stąd postawa akceptacji dla przyjścia Niemców i ich administracji. Tym bardziej, że to nie była historycznie nowa sytuacja, takie zmiany były wpisane w historię Śląska.

R.K. – Pokolenie, które uczestniczyło w obronie Śląska, nie miało doświadczenia życia w dwóch systemach państwowych. Wychowane przez nauczycieli galicyjskich reprezentowało zupełnie inne pojmowanie patriotyzmu. To byli tacy górnośląscy Kolumbowie – pierwsze pokolenie, które wchodzi w ostry konflikt narodowościowy wywołany wojną – oni mieli za sobą jedynie doświadczenie polskiej szkoły, polskiej tradycji kulturowej, byli do niej głęboko przywiązani, byli rzeczywiście głęboko patriotyczni. To było inne pokolenie niż pokolenie ich ojców.

A.D. – Ale była też bardzo liczna grupa, dla której wartości narodowe nie były najbardziej istotne, wyżej od nich stawała przynależność grupową, więzi rodzinne, powiązania językowe, kulturowe. To zaciążyło na efekcie „palcówki” – dla nich określenie przynależności narodowej, czy jestem Niemcem czy Polakiem, było sprawą wtórną, drugorzędną.



B.P. – Najważniejsze było, że jestem na przykład z Siemianowic.

J.M. – Najmłodsze pokolenie duchowieństwa wychowane już w diecezji katowickiej jest najbardziej zradykalizowane – bierze udział w ruchu oporu, angażuje się w Armii Krajowej i w nielegalne w działania o charakterze charytatywnym. Starsze pokolenie reprezentowało mniej wyrazistą postawę i to nie był oportunizm, ale raczej doświadczenie historii – byli tu Niemcy, przyszli Polacy, teraz znowu przyszli Niemcy i tak toczy się koło historii, nie wiadomo, co będzie, a więc trzeba przede wszystkim zajmować się duszpasterstwem. Pamiętajmy, że tutaj jeszcze funkcjonował nakaz bp. Adamskiego, żeby ksiądz trzymał się przede wszystkim duszpasterstwa, a nie polityki. Młode pokolenie za swoje zaangażowanie konspiracyjne zapłaciło wysoką cenę w obozach koncentracyjnych i więzieniach.

R.K. – Gdy się mówi o tym młodym pokoleniu patriotycznym, to trzeba pamiętać, że to było pokolenie sanacji. Nie twierdzą, że wszyscy byli zwolennikami sanacji, ale generalnie Związek Powstańców Śląskich i wszystkie organizacje, które dawały świadectwo swojej polskości, to były grupy sanacyjne, w tym Oddziały Młodzieży Powstańczej i Związek Harcerstwa Polskiego. Byli za młodzi, żeby stać się elitą polityczną czy administracyjną. Pokolenie starsze, to z tym podwójnym doświadczeniem, reprezentowała głównie chadecja górnośląska, tzw. korfanciarze.

FOLKSLISTA

B.P. – Powiedzmy o niemieckiej liście narodowościowej i jej konsekwencjach, już powojennych. Bo te wojenne są jasne.

J.M. – Pomysł weryfikacji postaw i rehabilitacji Górnoślązaków nie narodził się w PRL, powstał w rządzie londyńskim, na przełomie grudnia 1939 r. i stycznia 1940 r. W rządzie londyńskim utrwaliła się opinia, że ci wszyscy, którzy zdradzili, albo z jakichś powodów przeszli na stronę niemiecką, będą musieli po wojnie poddać się weryfikacji, która wyjaśni ich zachowania i wybory dokonane po 1939 r.

A.D. – Niemiecka koncepcja była taka – przychodzimy na tereny spolszczone w okresie międzywojennym, ale odwiecznie niemieckie, więc należy wszystkich, którzy przynależą do narodu niemieckiego, albo są w jakiś sposób do odzyskania dla Niemiec, objąć listą narodowościową. Akcja folklisty odbywała się w warunkach wojennych, w obliczu zapotrzebowania na rekruta do wojska, a zarazem konieczności pozostawienia odpowiednich fachowców w ważnym ośrodku przemysłowym, więc nie mogła być obiektywną czy w miarę prawdziwą klasyfikacją Ślązaków pod względem narodowym. To był pewien paradoks – Niemcy dokonali czegoś z nadużyciami, przy nacisku, zastraszaniu itd., a władze komunistyczne powiedziały – dobrze, mamy taki stan na Śląsku, mamy



podział ludności na cztery grupy folkslisty, i to jest nasz stan wyjściowy. Nazwałem to polityką odwróconej folkslisty, bo myślano dokładnie takimi samymi kategoriami – im wyższa grupa folkslisty, tym „większy” Niemiec. Tak zwana likwidacja skutków folkslisty odbyła się przy olbrzymich nadużyciach administracyjnych, aparatu bezpieczeństwa, MO, nadużyciach popełnianych podczas rehabilitacji. Wszystko pod hasłem: nie oddamy ani jednego Polaka, ale nie chcemy ani jednego Niemca.

B.P. – Folkslista była jedyną wskazówką, bo według jakiego klucza miałyby następować rehabilitacja zaraz po wojnie?

A.D. – Naturalnie, chociaż już wojewoda Aleksander Zawadzki uznał, że wpis na folkslistę w województwie śląskim odbywał się na zasadzie przymusu. Coraz częściej dostrzegano, że to nie jest narzędzie, którym należy się posługiwać. Co więcej, zrazu przykładano niewłaściwą miarę do tych spraw, ponieważ aresztowania na początku 1945 r. przebiegały na podstawie dekretu PKWN z 4 listopada 1944 r. „o środkach zabezpieczających w stosunku do zdrajców Narodu”, dotyczącego osób, które się deklarowały jako folksdojczy na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Taką podstawę aresztowania wpisywano na Górnym Śląsku, choć dekret ten tutaj nie obowiązywał. Trudno też było się powoływać się na dekret z 28 lutego 1945 r. o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów, gdyż ostatecznie nie wszedł w życie. Mamy wreszcie ustawę o tej samej nazwie z 6 maja 1945 r., która przymusowemu, sądowemu postępowaniu rehabilitacyjnemu poddawała osoby wpisane do II grupy folkslisty, a posiadacze grupy III i IV w celu otrzymania tymczasowego zaświadczenia obywatelskiego (od sierpnia już stałego) byli zobowiązani do złożenia deklaracji wierności wobec państwa i narodu polskiego. Majątek osób z II grupą folkslisty podlegał zajęciu do momentu uwzględnienia wniosku o rehabilitację, a kiedy sąd odrzucał wniosek, wówczas wnioskodawca trafiał na czas nieokreślony do obozu pracy, zostawał pozbawiony praw honorowych i publicznych, a cały majątek ulegał konfiskacie. Ustawa nie przewidywała żadnych regulacji pośrednich pomiędzy pełnym zrehabilitowaniem a odrzuceniem wniosku i umieszczeniem w miejscu odosobnienia. Osoby zaszeregowane do I grupy folkslisty uznane zostały za Niemców i nie miały możliwości uzyskania obywatelstwa polskiego na drodze rehabilitacji. W połowie 1946 r. uznano, że sprawa folkslisty jest wtronna, a kryterium stanowi zachowanie się danego człowieka w czasie wojny, to, czy w jakiś sposób wykazywał przywiązanie do narodowości polskiej albo czy nadmiernie nie wykazywał przywiązania do narodowości niemieckiej. W ciągu kilkunastu miesięcy postrzeganie spraw śląskich przez władze centralne i wojewódzkie znacznie się zmieniło – od początkowego uznawania za Niemców wszystkich posiadaczy I i II grupy folkslisty, poprzez możliwość zrehabilitowania tych drugich, do przyznania, że kryteria niemieckiej listy narodowościowej nie były wystarczającą podstawą do przeprowadzenia selekcji narodowościowej. Ostateczne zerwanie z zasadą, że stopień winy



zależy od kategorii niemieckiej listy narodowościowej, zostało potwierdzone w ustawie z 28 czerwca 1946 r. o odpowiedzialności karnej za odstępstwo od narodowości w latach 1939–1945. Ostatecznie sprawę folkslisty formalnie zamknięto w 1950 r. ustawą o zniesieniu sankcji oraz ograniczeń w stosunku do obywateli, którzy zgłosili swą przynależność do narodowości niemieckiej.

WERYFIKACJA

B.P. – Można sobie wyobrazić, że rozstrzygnięcie o wierności lub jej braku było polem do wszelkiego rodzaju manipulacji i nadużyć, chociażby wynikających z osobistych animozji.

A.D. – Ważne były również sprawy majątkowe. W wysoce skomplikowanej sytuacji narodowościowej na Górnym Śląsku wystarczył donos sąsiada, by wskazany, jako zdrajca narodu, znalazł się w więzieniu lub obozie, a jego mieszkaniem zaopiekował się „życzliwy sąsiad” lub jeszcze częściej osoba, która dopiero co przybyła na te tereny. Jeśli chodzi o osoby z II grupą folkslisty, można mówić o masowej skali nadużyć. Bez oglądania się na decyzje władz prokuratorskich, władze bezpieczeństwa zatrzymywały na ulicach, w domach, w zakładach pracy tzw. dwójkarzy i kierowały do obozów pracy. Nadużycia takie odbywały się na dużą skalę, łącznie z fałszowaniem folkslist. Znalaziono nawet w katowickim magistracie swoistą „fabrykę nielegalnych folkslist”, gdzie wystawiano, na oryginalnych drukach, z oryginalnymi pieczęciami, odpowiednie dokumenty – niższe grupy folkslisty dla tych, którzy chcieli uniknąć represji i wyższe dla chcących wyjechać do Niemiec.



R.K. – Należy pamiętać, że w końcu lat czterdziestych raczej wracało się tutaj, bo życie w Niemczech było bardzo trudne. Składano podania o zgodę na powrót, na przykład z obozów jenieckich. Lata, w których trwały rozliczenia z folkslisty, pozostawiły wielki ślad w świadomości Górnoszlązaków. W większości czuli się zupełnie niewinni tej sytuacji, bo przecież urzędnik niemiecki dał im jakąś tam grupę folkslisty i na przykład ci, którzy mieli III grupę, przez pół roku nie mieli obywatelstwa polskiego, żyli na tymczasowych zaświadczeniach, groziła im utrata majątku albo już zostali go pozbawieni. Osadnicy wchodzili do ich domów. Ten horror trwał przez trzy lata po wojnie. Ludzie żyli w stanie zawieszenia i nie wiedzieli, czy zostaną tutaj, czy nie. Koczowali na walizkach. Byli zagrożeni nie tylko denuncjacją, ale powolnością działań administracyjnych. W większości rodzin górnośląskich usłyszy się jakąś historię o tym, jak rozliczano ich z folkslisty, i każda z tych historii jest inna, trudno to skategoryzować.

J.M. – Biskup Adamski proponował, żeby wysiedleniom podlegali tylko i wyłącznie funkcjonariusze państwowi, czyli ludzie zaangażowani w ad-



ministrację państwową, przede wszystkim partyjni, w jakiś sposób włączeni w struktury NSDAP i czynnie zaangażowani w życie polityczne. Do NSDAP nie ściągnano siłą, tam trzeba było przyjść samemu i mieć rekomendację. Wychodził z założenia, że ślepo stosowane prawo może skaleczyć. Dlatego świadomie bronił na przykład księży pochodzenia niemieckiego, twierdząc, że jeśli któryś z nich w sumieniu nie ma nic sobie do zarzucenia, i jeśli parafianie bronią takiego księdza, wykazując jego właściwą postawę w czasie okupacji, to znaczy, że trzeba po prostu przyjąć inne kryteria, o charakterze nie prawnym, lecz moralnym. Biskup Adamski, mając na uwadze także swoją politykę z okresu międzywojennego, uważał, że wielu Ślązaków, którym groziło wysiedlenie, to ludzie do „odzyskania” dla polskości. Trzeba im tylko pozwolić tutaj pozostać; z pewnością się spolonizują. Mam na myśli ludzi określanych jako Pantowcy (zwolennicy Eduarda Panta, Niemca, stanowczego przeciwnika narodowego socjalizmu w okresie międzywojennym). Będą lojalni wobec państwa polskiego, a z biegiem czasu – taka była taktyka Adamskiego – ten żywioł śląski, polski, wchłonie ich i spolonizuje. Taką taktykę stosował przed wojną i w pierwszych dniach okupacji (chodzi o „palcówkę”) i z takimi samymi założeniami występował po 1945 r.

A.D. – To jest cały czas patrzeć na ten problem od strony formalnej. Zwracał na to uwagę gauleiter Fritz Bracht w czasie wojny, który stwierdził, cóż z tego, że my mamy Ślązaków wpisanych na folkslistę, jeżeli oni się zachowują tak, jakby w ogóle folkslisty nie mieli, dalej rozmawiają po polsku. Ale jeśli chodzi o kryterium przynależności do NSDAP, to też było bardziej skomplikowane. Zawadzki mówił, że ostry kurs wobec „dwójkarzy” wynikał z tego, iż władze nie miały rozeznania w sytuacji na tym terenie, a nawet, że podchodzenie formalne do członków NSDAP, na zasadzie odrzucenia, bo to są Niemcy, nie jest do końca racjonalne. W 1950 r. władze polskie przyznały, że w województwie katowickim nawet formalna przynależność do NSDAP nie zawsze może decydować o pozbawieniu obywatelstwa.

J.M. – Ale to jest rok 1950, to już trochę inna sytuacja. Przynależność do NSDAP była czytelniejszym kryterium, bardziej sprawiedliwym niż sama folkslista.

R.K. – Problem rozliczenia folkslisty dotyczył wszystkich regionów graniczących z Niemcami w Europie. Władze komunistyczne nie były tu osamotnione, podobnie było między innymi we Francji, w Jugosławii. Na rozliczenie folkslisty prawdę powiedziawszy nie ma metody doskonałej. A pamiętajmy, że po 1945 r. panowała taka atmosfera, że każdy Niemiec był nazistą. Sytuacja Górnego Śląska była nietypowa. Czym innym była folkslista na terenach wcielonych – w Wielkopolsce, jeszcze inaczej było na Pomorzu. Ja myślę, że władze w 1945 r. nie miały pojęcia o masowości tego problemu na Śląsku, okazało się, że dotyczy on prawie

wszystkich jego mieszkańców pośrednio lub bezpośrednio. Na dawnym tzw. pruskim Górnym Śląsku folkslistą objęte było prawie 90 proc. ludności. W 1945 r. potrzebne było i samo rozstrzygnięcie tego problemu, i narzędzie, które pozwoliłoby to zrobić. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby nie dokonano tej operacji. Mielibyśmy do czynienia z dużą grupą mniejszości niemieckiej, która pozostałaby na tym terenie, może zaczęłoby wyjeżdżać w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jak wyglądałaby sytuacja ludności polskiej, szczególnie w małych, zamkniętych społecznościach wiejskich? Jak żyłyby te zbiorowości, ze świadomością, że sąsiad to ten, kto robił to i to?

A.D. – Władze londyńskie przygotowując rozwiązanie kwestii folkslisty, widziały to bardzo podobnie i nie można zakładać, że odbyłoby się to łagodniej dla mieszkańców tego terenu tylko dlatego, że rządziłaby inna władza. Trzeba powiedzieć, że kwestie rozliczeń z przeszłością okupacyjną to kolejna zadra u Ślązaków, która pozostała na długie lata, bo brały w niej udział osoby z zewnątrz. W komisjach weryfikacyjnych, w sądach nie mogli zasiadać folksdojczje. Ocenę polskości podejmowały osoby, które nie orientowały się w specyfice sytuacji przed wojną i w czasie wojny na tym terenie. Widziały Górną Śląsk przez pryzmat doświadczeń wojennych w GG, a sprawa folkslisty wyglądała zupełnie inaczej na tych terenach. Tam folksdojczje to byli zdrajcy...

J.M. – ... a tutaj często to byli Wallenrodzi, jak zauważył Zbyszko Bednorz.

A.D. – I zdarzały się głosy w różnych komisjach weryfikacyjnych, że najpierw wszystkich Ślązaków wysiedlimy do obozów, a później zobaczymy, co z nimi zrobić. Trzeba pamiętać też i o tym, że folkslista to nie jest jedyny problem Górnego Śląska, bo z tym jest związana rehabilitacja (sama nazwa daje wiele do myślenia). Jest również weryfikacja osób, które już przed wojną posiadały obywatelstwo niemieckie i były mieszkańcami III Rzeszy – to problem tzw. Śląska Opolskiego, w tym dużych miast przemysłowych – Bytomia, Zabrze, Gliwic.

NOWI MIESZKAŃCY

B.P. – A jak wyglądało zasiedlanie tego terenu?

J.M. – Dam pewien przykład z opolskiego, ciekawy i wiele mówiący. Tam zostało trochę szkół polskich z okresu międzywojennego, z polskimi dyrektorami. I co po 1945 r. zrobiła władza ludowa? Wyrzuciła z urzędu dyrektorskiego właśnie tych dyrektorów szkół polskich i obsadziła swoich. To był przejaw nowej rzeczywistości politycznej i ideologicznej, której Ślązacy kompletnie nie rozumieją. To jest nie do pojęcia z różnych powodów: ideologicznych – bo rozpoczyna się nacisk ateizmu, gospodarczych – bo przychodzą zupełnie nowe elity z zewnątrz. Przed



wojnę przyszli tu ludzie zwłaszcza z Galicji, z Wielkopolski i (z uzasadnionych może powodów) zasiedli na tych wyższych stołkach, na stanowiskach kierowniczych. Ślązak pozostał robolem. Po 1945 r. znów przychodzą różnymi drogami elity urzędnicze i Ślązak znów pozostaje tylko robolem. To miało nieco mniejsze negatywne znaczenie na Śląsku polskim, poplebiscytowym, ale bardzo mocno zapadło w świadomość na Opolszczyźnie i odbiło się dalekim echem po 1989 r. Od 1945 r. drogi Opolszczyzny, czy chcemy, czy nie chcemy, rozchodzą się z polskim Śląskiem, czego przykładem jest, przynajmniej dla mnie, rozwój związku Mniejszości Niemieckiej na Opolszczyźnie.

A.D. – Przeobrażenia społeczne i mentalne, jakie dokonały się po 1945 r. na Śląsku, były daleko głębsze niż te z okresu wojennego. Weźmy skalę ruchów migracyjnych, wysiedleń, deportacji kilkudziesięciu tysięcy Górnos Ślązaków do Związku Radzieckiego, przesiedleń czy tzw. repatriacji. W ciągu kilku lat powojennych spowodowały one całkowitą dekompozycję tego społeczeństwa. Z województwa wysiedlono 295 tys. osób narodowości niemieckiej, nie licząc tych, którzy sami wyjechali. Na to miejsce przybyła nieco mniejsza grupa repatriantów ze wschodu i przesiedleńców z innych regionów Polski – głównie z rzeszowskiego, kieleckiego i krakowskiego. Zastąpiono jeden żywy organizm drugim. To rodziło określone zachowania, określone stereotypy. Przyjechali tu ludzie zróżnicowani pod względem społecznym, a dużą grupę, szczególnie wśród przybyszów z ościennych województw, stanowiła biedota, ale z aspiracjami.

J.M. – To byli chętni na mieszkania, urzędy. Jednym z dramatów po 1945 r. związanych z wysiedleniami było to, że bardzo często zajmowano mieszkania ludzi, którzy później wracali z obozów, z frontu. Trzeba było dać im papier, że zostali wysiedleni, wyrzuceni ze Śląska.

B.P. – **A jak przyjmowano repatriantów, przesiedleńców zza Buga?**

A.D. – Repatrianci doświadczyli wiele krzywdy. Oni sami czuli się bardzo mocno poszkodowani przez wojnę i jej konsekwencje. Sądziли, że przeniesienie na Śląsk zakończy tułaczkę i będzie formą rekompensaty za utracone mienie. Byli przekonani, że zostaną przyjęci z otwartymi ramionami, że staną wręcz puste tereny, do których nikt nie będzie sobie rościł prawa, że to jest rekompensata za ich utracony Lwów... Napotkali tutaj zwartą grupę, która trzymała się razem i dosyć nieufnie reagowała. Przybysze również wykazywali nieufność, a istniejąca bariera kulturowa i językowa powodowała, że wielu mieszkańców Górnego Śląska postrzegali właściwie jako Niemców.

B.P. – **Niemniej padło już w tej rozmowie i takie stwierdzenie, że już następne pokolenie zabużan potraktowało Śląsk jako swoją ojczyznę.**

R.K. – Trzeba pamiętać, że przyszła tutaj jeszcze druga fala osadnictwa, późniejsza, niezorganizowana. Już w okresie planu sześcioletniego powstało tutaj sporo inwestycji. W latach sześćdziesiątych budowano nowe kopalnie, sporo zakładów przetwórczych, nowych miast, w tym socjalistyczne Tychy. W latach siedemdziesiątych, w okresie gierkowskim przybyła trzecia fala zwabiona tym, że można tu szybko zrobić karierę. Przeorywanie struktury społecznej Górnego Śląska następowało regularnie. Dlatego grupa Górnoszlązaków, która ma wyraźne poczucie tradycji, jest obecnie grupą mniejszościową.

A.D. – Imigracja spowodowała utrwalenie wizerunku osoby spoza Śląska, traktującej Ślązaków z góry, jako ludzi nadających się jedynie do pracy fizycznej. Nie traktuje ich poważnie, nie ufa się im. W pierwszych miesiącach 1945 r., szczególnie z przyległych województw, przyjeżdżano na Śląsk w celach rabunkowych – tu było mienie poniemieckie, bogate puste mieszkania. Pojawia się też element konfliktu śląsko-zagłębiowskiego.

B.P. – Ten konflikt jest znacznie starszy.

A.D. – Jest starszy, ale zaostrzył się w czasie wojny, kiedy Górnoszlązacy byli kierowani na różnego rodzaju stanowiska w przemyśle i tam wyrobili sobie markę osób wiernych Niemcom, z wyższością traktujących tych innych. Po wojnie istniała ogromna chęć zemsty na folksdojczach, szczególnie silna u tych, którzy w jakiś sposób doświadczyli jakiegoś poniżenia w czasie okupacji ze strony Górnoszlązaków.

TOŻSAMOŚĆ

B.P. – Myślę, że proletariackie, socjalistyczne tradycje Zagłębia też mają tutaj znaczenie. A Śląsk był chadecki. Ale jeszcze jedną sprawę dobrze byłoby wyjaśnić. Padło w naszej rozmowie takie sformułowanie o plebejskości Śląska. Chcę zrozumieć, dlaczego tak było. W XIX i XX wieku były przecież w pobliżu te uniwersytety austriackie, niemieckie, na które można było iść, przecież bardzo niedaleko był Kraków. Mam wrażenie, że ludzie mieli tu możliwości zdobywania wyższego wykształcenia, a jednak ta plebejskość była modelem społecznie zadowalającym. Człowiek był związany z zakładem pracy czy własnym gospodarstwem i nie miał aspiracji do wyższego wykształcenia. A może było to jakieś upośledzenie społeczne wynikłe z czynników zewnętrznych?

A.D. – W okresie międzywojennym śląskie elity polityczne i społeczne w znacznym stopniu pochodziły z „importu”. Jeżeli Śląsk jako region wyjątkowy pod względem kulturowym i etnicznym przez długie lata czy nawet wieki takim pozostał, to dzięki określonej specyfice polegającej na plebejskości kultury śląskiej, bardziej odpornej na procesy asymilacyjne. Tu było bardzo spłaszczone zróżnicowanie na grupy społeczne.



Elity były blisko szarego człowieka, mocno z nim związane, ale też bardzo nieliczne. W czasie wojny zabrakło takich jasnych drogowskazów, które mogłyby wskazać Ślązakom określony kierunek. Był bp Adamski, ale jednak z myśleniem wielkopolskim, Korfantego już zabrakło.

R.K. – W tej chwili badania struktury społecznej Górnego Śląska, tej tradycyjnej grupy, pokazują, że awans poprzez wykształcenie jest główną wartością. Ale co najmniej do połowy XX wieku awans kulturowy związany z przejściem do warstwy inteligenckiej zazwyczaj wiązał się z wynarodowieniem, w jedną albo w drugą stronę. Kultura wysoka do I wojny światowej to była kultura niemiecka. Kultura polska to była kultura górnośląska, związana z dialektem, bez własnej literatury, bez tego, co nazywamy wysoką kulturą. Jeśli ktoś szedł na uniwersytet niemiecki, to był to awans, ale związany z niemieckością. Jeżeli zostawał po stronie polskiej, to bardzo rzadko zdarzało się, żeby szedł na uniwersytet do Krakowa. Jedynym wyjątkiem jest tutaj duchowieństwo.

J.M. – Jeśli chodzi o tę wyższą kulturę i proces wynarodowienia, to zaczynał się w gimnazjach, z pewnością nie w domu rodzinnym, nie w szkole elementarnej, bo w niej były jeszcze resztki języka polskiego, zwłaszcza jeśli chodzi o katechizację. Gimnazja i uniwersytet oferowały kulturę wysoką. Mamy bardzo interesujące wypowiedzi niektórych duchownych, którzy czuli się Polakami, ale z tym większym podziwem patrzyli na dorobek kultury niemieckiej (ks. Emil Szramek). Specyfika sytuacji, jeśli chodzi o duchowieństwo, polega na tym, że to byli synowie robotników, wieśniaków. Mówię o pokoleniu dojrzewającym na przełomie XIX i XX wieku, kiedy decydowała się przyszłość Polski. Bliżej im było do chłopa i robotnika, dalej do jakiegoś urzędnika niemieckiego i przemysłowca, który był albo protestantem, albo niemieckim katolikiem. Związek duchownych z grupą, z której wyszli, był bardzo silny. Kazania były mówione najczęściej gwarą, bo duchowni służyli ludziom w takim języku, jaki oni rozumieli. Była też grupa, która wychodząc z rdzennie śląskich rodzin, mających tradycję języka polskiego, przeszła na stronę niemiecką.

A.D. – W jakimś sensie pozostanie w środowisku plebejskim było gwarancją zachowania tożsamości. I to była swego rodzaju pułapka. Na Górnym Śląsku były określone pola pracy – pracy fizycznej, dobrze wynagradzanej. Mało ludzi zarabiała na życie w inny sposób. To niosło ze sobą określone konsekwencje. Na Śląsku funkcjonował taki model rodziny – pracujący mąż i ojciec utrzymywał całą rodzinę. Przed wojną w szkolnictwie górnośląskim wprowadzono zakaz pracy kobiet zamężnych, przez długi czas był tu w ogóle najniższy procent kobiet pracujących. Kult pracy, głównie fizycznej, wiązał się z tym, że Ślązacy czuli się fachowcami, takimi robotnikami zachodnioeuropejskimi, i mieli ku temu podstawy: kwalifikacje, przygotowanie, przekazywanie doświadczeń zawodowych z pokolenia na pokolenie.



J.M. – Należy rozróżnić kulturę wysoką i tzw. plebejską. Jeśli sięgamy pamięcią historyczną nie głębiej niż w wiek XIX, to należy zauważyć, że podziały zarówno wśród twórców kultury, jak i jej odbiorców szły po linii podziałów narodowościowych; Niemcy tworzyli kulturę wysoką i w jej kręgu znajdziemy nawet noblistów, natomiast polskojęzyczna ludność najwyższej mogła się pochwalić Karolem Miarką i śląskim Mickiewiczem, czyli ks. Norbertem Bonczykiem, teatrem amatorskim, a także stosunkowo wyrobionymi odbiorcami muzyki. W okresie międzywojennym sytuacja ulega zmianie; szerszy dostęp młodzieży śląskiej do szkół zaczął przynosić owoce, ale dopiero w następnym pokoleniu. Na Śląsku zaczęli też tworzyć uznani pisarze i poeci, żeby wspomnieć tylko Zofię Kossak-Szczucką. Po wojnie w wyniku wysiedleń ze Wschodu na Śląsk napłynęła szeroka fala ludzi nauki i kultury, głównie z Kresów Wschodnich. To oni tworzyli podwaliny Politechniki Śląskiej, Uniwersytetu Wrocławskiego, Opery Śląskiej w Bytomiu, Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Dzisiaj ludziom z centralnej Polski nauka i kultura na Śląsku kojarzy się z Uniwersytetem Wrocławskim, Uniwersytetem Śląskim w Katowicach i Akademią Muzyczną, z takimi nazwiskami, jak Górecki, Kilar i Kutz. Ten ostatni utrwalił na taśmie filmowej nostalgiczny obraz Ślązaka, kojarzonego z kulturą zbliżoną do hodowli gołębi i grą w orkiestrze górniczej. Do całości tak konstruowanego obrazu brakuje jeszcze dyskusji w karczmie lub na werandzie przy kufłu piwa.



GÓRNICY

R.K. – Taki system organizacji pracy pozostał i w PRL. W kopalni nie można było inaczej pracować. W tej pracy ważne jest to wielowiekowe doświadczenie podporządkowane systemowi organizacyjnemu, który wytworzono w kopalniach głębinowych na początku XIX wieku. Ludzie przenosili to w genach i musieli mieć zwierzchników, którym ufali, bo z sytuacją bezpośredniego zagrożenia życia w kopalni stykali się właściwie codziennie.

B.P. – **Ale to chyba nie jest tak, jak mówi stereotyp, że mieszkańcy Górnego Śląska, ta część męska, są związani tylko z wydobywaniem węgla. Tutaj były przecież dość znaczne obszary rolnicze.**

R.K. – Dla każdego, kto się tutaj wychował, górnik to faktycznie był ktoś. Nie chodzi nawet o to, że więcej zarabiał czy miał jakieś specjalne przywileje. Ten stan zawodowy można porównać do stanu kolejarzy w II Rzeczpospolitej. Przedstawiciel tego stanu to osoba, która ma pewny zawód, umie to robić, ma swój specyficzny honor i sposób zachowania, który promieniował dookoła.

B.P. – **To nie była grupa folklorystyczna.**

R.K. – Jak górnik przychodził do przedszkola czy do szkoły w mundurze, to nie dlatego, że taki był nacisk komunistyczny, tylko on faktycznie był

tam osobą chętnie widzianą. Ludzie chcieli się z nim spotkać, dzieci też chciały się z nim spotkać. Do końca ubiegłego wieku górnictwo było górnośląską tradycją, ono budowało tutejszą tożsamość. Górnictwo jednak umiera, prawie już nie istnieje. Jesteśmy świadkami zapaści społecznej wszystkich środowisk, które wokół górnictwa funkcjonowały. Ten proces był nieuchronny, ale nastąpił za późno, dlatego jest tak dramatyczny. To jest zapaść gospodarcza, społeczna i społeczna. Koszty społeczne tego całego przedsięwzięcia są dla regionu olbrzymie.

A.D. – Wróciłbym jeszcze do 1945 r. Wtedy obserwujemy dramatyczne poszukiwania osób do pracy w kopalniach, mogących wypełnić lukę po górnikach wywiezionych do ZSRR. Na przykład w kopalni „Miechowice” pracowało wtedy 800 osób, z tego 600 stanowiły kobiety, a pozostałe 200 kalczy i osoby starsze. Brakowało mężczyzn do pracy, w 1946 r. próbowano nawet sprowadzić tutaj do pracy fizycznej włoskich kamieniarzy. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych rozpoczęło się niszczenie tradycyjnego etosu pracy górników. Przez dziesięciolecia była to praca, którą się szanowało, wykonywało się ją rzetelnie, sumiennie. I nagle w środowisko górnicze wchodzić zupełnie inni ludzie – więźniowie, jeńcy, a w latach 1949–1959 nawet bataliony robocze, złożone z poborowych, którzy odbywali zastępczą służbę wojskową, pracując w kopalniach. A jednocześnie wciąż starano się zwiększyć wydobycie węgla, który był czarnym złotem.



R.K. – Żaden z tych eksperymentów się nie udał. Za każdym razem wracano do starego. Do karczmy piwnej, do zebrania, do pasowania, do munduru. Każda – i polska, i niemiecka – próba wprowadzenia nowych zasad organizacyjnych w kopalni kończyła się fiaskiem i trzeba było wracać do starych.

J.M. – Jeśli sztygar, nawet największy ateista, nie pozdrowił górnika na dole „Szczęść Boże”, to nie miał na dole czego szukać, mógł jeszcze oberwać.

PEERELIA

B.P. – Śląsk jako obszar najbardziej zindustrializowany w PRL był oczkiem w głowie władz komunistycznych. Z jednej strony miał zapewnić krajowi węgiel, w tym, co istotne, na eksport, z drugiej zaś strony pilnie strzeżono, by świadome swej wartości środowiska górnicze i wielkoprzemysłowe (nie należy zapominać o zlokalizowanych tu hutach żelaza, stalowniach, przemyśle chemicznym) nie wymknęły się spod kontroli. Jakie były metody obtaskawiania społeczności tego regionu?

A.D. – Do 1948 r. dopuszczano Górnoślązaków do pełnienia stanowisk w administracji państwowej. Przykładem może być trzech wicewojewodów – autochtonów: Jerzy Ziętek, Arka Bożek i Paweł Nantka-Na-

mirski. Od 1948 r. rozpoczęto ideologicznie motywowaną czystkę, usuwając Ślązaków ze stanowisk administracyjnych, na przykład prezydentów miast. Pojawia się inne spojrzenie na Śląsk, także na powstania śląskie – nie jako na ruch narodowyzwoleńczy, a niemal jak na dywersję w ruchu robotniczym. Z jednej strony dokonywano czystek, a z drugiej promowano przodowników pracy.

R.K. – Śląskość była postrzegana jako separatyzm. Uważano, że Arka Bożek i Ziętek budują grupę zajmującą stanowisko separatystyczne.

A.D. – Nie ma już administracyjnej autonomii Śląska. I to, co się zaczęło w czasie wojny, czyli zacieranie granic Śląska, po wojnie trwa nadal. Najpierw stworzono województwo śląsko-dąbrowskie, później katowickie i opolskie. Górny Śląsk został sztucznie poszatowany i potraktowany jako organizm przemysłowy. To rozpoczęli już Niemcy, którzy do rejencji katowickiej włączyli Zagłębie Dąbrowskie.

R.K. – W powszechnym przekonaniu w latach siedemdziesiątych w Polsce rządzą Ślązacy, tak zwana grupa śląska. Nic bardziej mylnego – cała albo prawie cała ekipa Gierka pochodzi z Zagłębia i ze Śląskiem nie ma żadnych związków. To jest pokłosie tych sztucznych struktur administracyjnych.



STARY SPOKÓJ, MŁODY OPÓR

B.P. – Dlaczego Śląsk nie stanął w 1970 r.?

A.D. – Sprawdziły się słowa ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Katowicach Edwarda Gierka, który przekonywał Gomułkę, że nie należy spodziewać się protestów w województwie katowickim. Można sądzić, że miały na to wpływ wyższe od krajowych zarobki w regionie, ale także polityka umożliwiająca łączenie rodzin. Wtedy pojawiła się realna perspektywa wyjazdu do Niemiec i lepszego życia, nie warto było się narażać. Śląsk był (nieślusnie) postrzegany przez długie lata jako bastion i zaplecze komunizmu. Tutaj doświadczenie zdobywały późniejsze elity partyjne: Zawadzki, Gierek, Ochab, Szydłak. Gierek bardzo zyskał w oczach towarzyszy, zwłaszcza tych, którzy nie odróżniali Śląska od Zagłębia, bo on ugasił jeden ze strajków w 1951 r. Pojechał na dół do górników kopalni „Kazimierz Juliusz” w Sosnowcu, gdzie zginął jego ojciec i dziadek, i tam przekonał górników, żeby przestali strajkować. To była trampolina, która go wyniosła. Później dbał o to, by ten jego region był postrzegany jako taka cicha oaza, gdzie się przede wszystkim pracuje i wyrabia kolejne normy. Uspokajał towarzyszy, że gdzie jak gdzie, ale na Śląsku rozruchów nie będzie. Wiedział, co mówi. Kupował górników – lepszymi płacami, specjalnymi sklepami, przydziałami. Ta społeczność była trzymana bardzo mocno w ryzach.

J.M. – Pokolenie, które pamiętało jeszcze aktywną walkę o śląskość i tożsamość, dojrzewało przed wojną i w czasie wojny. Ono w sposób naturalny odeszło mniej więcej w latach sześćdziesiątych, a wraz z nim resztki oporu społecznego. Jako następne pojawia się to, które bierze udział w protestach i strajkach w Jastrzębiu, jest w „Wujku” i „Piaście”. Uczestniczy w odrodzeniu solidarnościowym. Ono jest trudne do opisanania. Nie ma już na Śląsku jednorodnych środowisk o wspólnym rodowodzie. Najwcześniej uaktywniły się środowiska akademickie i związane z katowickim KIK. Spotykają się w podziemiu i dyskutują o pewnych problemach społecznych. Pewnie są też i inne grupy, które nie wywodzą się ze środowisk katolickich czy prawicowych. Pewnym ewenementem jest tu postać Kazimierza Świtonia, którego milicja tropi już od lat siedemdziesiątych. Ten czas i rodzenie się oporu powinien opisać socjolog. To ciekawy problem. Okazuje się, że w tych komisjach zakładowych i wśród ofiar „Wujka” w większości znaleźli się nie Ślązacy, lecz robotnicy napływowi.

A.D. – W tym kontekście warto powiedzieć o genezie Uniwersytetu Śląskiego, który był tworzony pośpiesznie z kadr spoza Śląska, właściwie jako odpowiedź na zamęt w środowisku studenckim w 1968 r. Miał być sztandarową czerwoną uczelnią, wychowującą młodzież w odpowiednim duchu, w umiłowaniu socjalizmu.

R.K. – Sam pomysł nie był nowatorski, jak bumerang powracał jeszcze od czasu II Rzeczypospolitej, najbardziej zaawansowany był na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ale Gierek zrealizował to błyskawicznie.

J.M. – A ferment w środowisku młodzieży akademickiej był naturalny.

B.P. – **Sądzę, że jedną z przyczyn znacznie mniejszej aktywności Ślązaków w oporze antykomunistycznym było to, że bardzo wielu ludzi rzutkich wyjechało ze Śląska, nie tylko w latach tuż powojennych.**

R.K. – W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nastąpił ogromny odpływ ludzi, który bardzo zubożył to, co nazywamy zjawiskiem tożsamości górnośląskiej, rzeczywiście wyjeżdżali ludzie najbardziej dynamiczni. Miało to swoją drugą stronę – kontakty Górnego Śląska z Europą Zachodnią przez Niemcy były niewspółmiernie bardziej ożywione niż jakiegokolwiek innego regionu, a tak zwany Zachód był częścią prawie codziennego doświadczenia przez kontakty rodzinne, wyjazdy, przyjazdy, regularną korespondencję.

B.P. – **Ta łatwość wyjazdu do Niemiec przez kontakty rodzinne to jedno, ale należy pamiętać, że w przypadku Ślązaków praktycznie nie istniała bariera językowa.**



R.K. – To wszystko powodowało, że Ślązacy dobrze wiedzieli, jak można żyć inaczej, ich wiedza o Zachodzie była porównywalna z wiedzą podróżujących po Europie elit z innych regionów Polski. Znajomość Zachodu odgrywała tutaj sporą rolę, wiadano, że realność wygląda inaczej niż realny socjalizm.

A.D. – Warto powiedzieć, że postrzeganie województwa katowickiego jako bardzo uległego skończyło się w latach 1980–1981. To właśnie tutaj stosowano najliczniejsze represje, również skala internowań była tutaj największa w kraju. Nie gdzie indziej, lecz tutaj dokonano manifestacji zbrojnej, bo tak należy odczytywać atak na kopalnię „Wujek”.

R.K. – Dramatyczny był strajk w kopalni „Piaś”. Ten strajk pod ziemią odbił się tutaj olbrzymim echem. Po spacyfikowaniu „Wujka” obserwowano go z zapartym tchem. To był najdłuższy czynny strajk na Śląsku. W obydwu tych kopalniach pracowali w większości napływowi górnicy.

J.M. – Propagandzie Gierka udało się skutecznie skłócić Śląsk z resztą kraju (przywileje górnicze, specjalne sklepy, wysokie zarobki itp.). Strajki 1980 r. zrobiły dobrą atmosferę dla Śląska. Porozumienia jastrzębskie i opór w kopalni „Wujek” zrehabilitowały Śląsk w oczach całej Polski, pokazując determinację robotników śląskich. Wydarzenia w kopalni „Wujek” uzmysławiają nam, że mamy do czynienia z robotnikami oszukany, znajdującymi się w sytuacji krańcowej. Z jednej strony władza daje jasno do zrozumienia, do czego jest zdolna, zdeterminowana użyć każdego środka, aby spacyfikować nastroje wolnościowe. A ci po drugiej stronie to górnicy, ludzie postawieni pod ścianą, urażeni w swojej górniczej dumie. Ci byli zdecydowani na wszystko, nie liczyli się z konsekwencjami. I taka postawa nobilitowała Śląsk w oczach całej Polski. Śląsk nie milczał.

PÓŁ MILIONA

A.D. – Ale też w tym okresie bardzo wiele osób uciekło do Niemiec. W stanie wojennym zwolniono część internowanych, gdy wyrazili chęć wyjazdu na Zachód. W celu osłabienia opozycji i rozładowania napięcia wydano zgodę na wyjazd ponad trzystu internowanym. Wyjazdy te stanowiły część szerszego problemu – w latach 1950–1989 z Górnego Śląska wyjechało ponad pół miliona ludzi.

B.P. – Pod koniec lat osiemdziesiątych „wybuchła” niejako sprawa mniejszości niemieckiej na Śląsku.

J.M. – Tak, to jest pewien fenomen. Można zadać pytanie, skąd oni się wzięli, jeśli do 1950 r. wysiedlono z Polski prawie wszystkich Niemców. Relatywnie więcej pojawiło się ich oczywiście na Śląsku Opolskim.

B.P. – Pewnie da się to wpisać w dynamikę procesu poszukiwania tożsamości.

J.M. – Z pewnością, ale z drugiej strony wiele osób potraktowało taką deklarację narodowościową bardzo koniunkturalnie, w aspekcie ekonomicznym. Mieli możliwość wyjazdu ze względu na to, że na przykład ojciec był w Wehrmachcie, a on sam urodził się na Śląsku i mógł zdobyć tak zwane papiery. Uważam, że większość wyjechała z powodów ekonomicznych.

A.D. – To jednak nie tylko były powody rodzinne i ekonomiczne, którymi kierowali się tzw. volkswagendeutsche. Jest jeszcze typ motywacji wynikający z wotum nieufności do państwa – to jest państwo, które jest źle rządzone, tu się nie da żyć; panuje tu taka organizacja, do której my nie jesteśmy przyzwyczajeni; nie można być porządnym Ślązakiem i mieszkać w takim bałaganie.

R.K. – To było zjawisko ogólnopolskie, jeśli nie miało się szans na obywatelstwo niemieckie, to jechało się na azyl polityczny. Przede wszystkim chodziło o prawo do pracy, a tu zawsze było takie przekonanie, że jak ktoś ma pracę, to powinien coś z tego mieć. Jeśli chodzi o mniejszość niemiecką, to ona ujawniła się w sytuacji, gdy nie było możliwości napisania o sobie, że jestem Górnos Ślązakiem czy Ślązakiem. Wtedy pisano – jestem Niemcem, bo to jakoś tę własną tożsamość określało. Jak okazało się, że można w spisie określić się jako Ślązak, to wpisywano Ślązak. Proszę zauważyć, że w momencie pojawienia się możliwości określenia jako Ślązaka nastąpił spadek liczebności mniejszości niemieckiej. A pojawienie się i problem tej mniejszości śląskiej to jest poszukiwanie tożsamości. Gdyby była opcja: Polak–Ślązak, czy Polak–Górnos Ślązak, czy Niemiec–Ślązak, byłoby to o wiele bardziej precyzyjne.

NA STYKU KULTUR

B.P. – Śląsk to są kresy dwóch narodów, nasze kresy zachodnie, niemieckie kresy wschodnie. Nawet w przyrodzie jest tak, że każda sytuacja pogranicza dwóch środowisk przyrodniczych stwarza wielkie bogactwo gatunkowe i jest jakościowo czymś innym niż te otaczające je środowiska. W biologii się to nazywa efekt ekotonu, wielkie bogactwo, różnorodność i niepowtarzalność. W przypadku Śląska ta niepowtarzalność bierze się też z tego, że są to kresy dwóch bardzo różnych kultur – słowiańskiej i niesłowiańskiej...

A.D. – Tak, Ślązacy wchłonęli dużą dawkę zachodniej cywilizacji, ale na tym terenie przenikają się trzy wymiary kulturowe: polski, niemiecki i czeski (morawski).



B.P. – Poznałam kilku Ślązaków już w Niemczech i słuchałam ich dramatycznych opowieści o wielkim cierpieniu, jakiego tam doświadczają, żyjąc poza Śląskiem. Mówię o pokoleniu rodziców dorosłych dzieci, które podjęły decyzje wyjazdów z powodów właśnie ekonomicznych. Wyjeżdżają dorosłe już dzieci i ich rodzice. Rodzice wcale nie wyjeżdżają z potrzeby serca, tylko z takiego tradycyjnego myślenia, że rodzina nie może się rozpaść, nie dzieli się, członkowie rodziny nie porzucają się nawzajem. Opowiadali o tęsknocie, wielkim trudzie odnajdywania się w niemieckim społeczeństwie. To jest kolejny przykład na to, że górnośląskość jest faktem nie tylko społecznym, ale i cechą osobowości, w którąkolwiek stronę zostanie taki człowiek przeciągnięty, to jednak pozostaje odrębny.

A.D. – Śląsk próbowano regermanizować, repolonizować, a jak pokazują te wynikające z ostatniego spisu deklaracje, po kilkudziesięciu latach różnych zabiegów wiele osób identyfikuje się tylko ze śląskością. Może to jest ucieczka, ale jeśli mówimy o pewnych błędach w polityce wobec Ślązaków, to zawsze jest to brak akceptacji dla nich, takich, jakimi oni są. Zabrakło takiego stanowiska – bierzemy was, mimo całej waszej odrębności, budujcie razem z nami to państwo. Zawsze było traktowanie podejrzliwe, pogardliwe.

B.P. – Pogardliwe również w sferze materii, bo jednak zniszczenia, jakich pozwolono sobie dokonać na Śląsku, pokazują właśnie pogardę dla jego mieszkańców.



R.K. – Górny Śląsk w tych organizmach państwowych, w których egzystował, czy niemieckim do początku XX wieku, już nie mówiąc o II Rzeczypospolitej i PRL, zawsze był regionem, w którym koncentrowała się siła gospodarcza państw macierzystych. Utracił dzisiaj tę pozycję i to jest oczywiste, i tu jest główny problem. To rzeczywiście powoduje, że z Górnego Śląska następuje ciągły odpływ zdolnych, dynamicznych, głównie młodych ludzi, dokonuje się zapaść wielkich miast, z których uciekają ich mieszkańcy, zniszczenie przyrody i środowiska naturalnego.

A.D. – Nie bez powodu nazywano Śląsk Polską Katangą, nawiązując do kolonialnych metod eksploatacji tego regionu. Najtragiczniejszy był jednak stereotyp Ślązaka – beneficjenta PRL.

R.K. – Nastąpił jednak proces ponownego odczuwania „śląskości” jako wartości pozytywnej, bo to rzeczywiście jest zauważalne, chociaż pewnie nie wśród większości mieszkańców tego regionu. To zjawisko wpisuje się w pewien proces cywilizacyjny, związany nie tylko ze Śląskiem. Państwa narodowe są znacznie słabsze w swoim przyciąganiu wartościami kulturowymi. Amerykanizacja czy globalizacja kultury po-



woduje, że pewna część ludzi ma wielkie trudności w odnalezieniu dla siebie wartości w tej „wielkiej” kulturze, natomiast łatwiej identyfikuje się z kulturą lokalną, traktowaną jako „własna”, „swojska”, bo stwarza ona możliwość autentycznego w niej uczestnictwa. Samoidentyfikacja z kulturą śląską jest czymś nowym i optymistycznym dla przyszłości Górnego Śląska.



Adam Dziurok – ur. 1972 w Rybniku, dr historii, naczelnik OBEP IPN w Katowicach, adiunkt UKSW w Warszawie, autor m.in.: *Śląskie rozrachunki. Władze komunistyczne a byli członkowie organizacji nazistowskich na Górnym Śląsku w latach 1945–1956* (Warszawa 2000); *Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 r. Dokumenty, zeznania, relacje, listy* – red. (Warszawa 2002); *Represje wobec duchowieństwa górnośląskiego w latach 1939–1956 w dokumentach*, red. wspólnie z K. Banaś (Katowice 2003); *Represje wobec duchowieństwa Kościołów chrześcijańskich w okresie stalinowskim w krajach byłego bloku wschodniego*, red. wspólnie z J. Myszorem (Katowice 2004).



Ryszard Kaczmarek – ur. 1959, historyk, dr hab., prof. UŚ. Opublikował m.in.: *Pod rządami gauleiterów. Elity i instancje władzy w rejencji katowickiej w latach 1939–1945*. Stypendysta Fundacji Friedricha Eberta, Johann Gottfried Herder Institut w Marburgu, Institut für Osteuropäische Geschichte Uniwersytetu w Tybindze. W latach 1999–2001 kierował programem badawczym KBN: *Alzacja/Lotaryngia a Górny Śląsk – dwa regiony pogranicza w latach 1648–2001* (druk: Katowice 2001). Obecnie w ramach projektu badawczego KBN przygotowuje syntetyczne opracowanie: *II wojna światowa na Górnym Śląsku*. Specjalizuje się w historii II wojny światowej i historii Śląska w XX wieku.



Ks. Jerzy Myszor – ur. 1950, dr teologii, profesor nauk humanistycznych, kierownik katedry Historii Kościoła na Śląsku na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach; redaktor naczelny „Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych”. Autor m.in. monografii: *Stosunki Kościół–państwo okupacyjne w diecezji katowickiej 1939–1945* (Katowice 1992); *Historia diecezji katowickiej* (Katowice 1999), redaktor *Leksykonu duchowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945–1989. Pomordowani – więzieni – wygnani*, t. 1–2 (Warszawa 2002–2003).

